

# WIECZORY RODZINNE,

CZASOPISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE

DLA DZIECI.

[52]



Podnieś rękę, Boże Dziecię,  
Błogosław krainę miłą,  
W dobrych radach, w dobrym hycie,  
Wspieraj jej siłę swą siłą!

## BOŻE NARODZENIE.

przez Bohdana Zaleskiego.

Już Ojciec z Nieba świeci różdżką cudów,  
Wielka rumieńcem zapłoniona Zorza,  
Zwiastuje blaskiem na wszech ziem przestworza,  
Że się narodził Pan wieków i ludów:  
Stolica jego niepyszna lepianka;  
Król królów w żłobku — i na garści sianka.

\* \* \*

Śpieszą pod jasnej przewodnictwem zorzy,  
Sercem skłonieni ku najczystszej wierze:  
Lud ubożuchny, prostacy, pasterze;  
I śpieszą z dala — pokłonić się skorzy,  
Z mirrą i złotem — żyjący duchowie,  
Trzój święci mędracy, jako Trzój królowie.

\* \* \*

Gotuje Herod wyrok swój zbrodniczy,  
Złość stu kolcami wskroś duszy mu bodzie:  
Spełnienie proroctw! Nowy król w narodzie!  
Gdzieś — jakieś Dziecko — co go wydziedziczy!  
Kłaczystą brodę targa i szaleje.  
Pustoszą jego katy Galileje.

\* \* \*

Słychać głos w Ramie; straszny jęk niewieści  
Najdalszy kraju odbija zakątek,  
Pomordowanych swoich niewiniątek  
Żalują matki w niezmiernej boleści,  
We dnie i w nocy z mokremi oczyma,  
Niepocieszone przeto, że ich niema!

\* \* \*

Ojciec bluźniącym dobrodziejstwo czyni,  
Pieści na łonie rówieśników Syna!  
„Prostujcież ścieżki”. — Jan już upomina;  
Poprzednik mistrza tęskni ku pustyni.  
Mistrz z Matką swoją daleko w tej chwili  
Czeka — aż pomrą — którzy nań godzili.

\* \* \*

Obiedwie czasu bezbrzeżne otchłanie,  
Jako rozjęte po modlitwie ręce,  
Klaszczą ku sobie roznośniej w podzięce;  
Tysiąc pokoleń woła: Ojcz! Panie!  
W Synu my Twoim radujem się wielce.  
Niech nas obdzieli krwią swą po kropelce!

\* \* \*

„Arka wypada z domu Izraela”  
Synowie jęcząc błędzą rozproszeni:  
Czcieli sobie Pan wzbudza z kamieni,  
Któryż z narodów upodoba wielu?  
Kędy sercami, usty i pokłony,  
Aż do dnia Sądu — będzie uwielbiony?

## Choinka panny Katarzyny.

OBRAZEK Z ŻYCIA WIEJSKIEGO.

Na kilka dni przed świętami Bożego Narodzenia, na pensyi pani Wrońskiej w Warszawie panował ruch wielki, jak zwykle w tej porze, gdy lekcye ustają, a panienki wybierają się do domu na Święta. Gwarno było, wesoło, dziewczęta ani na chwilę nie przysiadły, ale w ciągłych podskokach zbierały i pakowały rzeczy; słyhać było nieustannie otwieranie szaf, szuflad i szufladek rozmaitych, na łózkach, krzesłach i na ziemi stały porozkładane walizki, tłómczki, pudełeczka, a przytém i ożywiona rozmowa nie ustawała.

Jedne opowiadały koleżankom, jakie zabawy i rozrywki czekają na nie w domu rodzicielskim, wyliczały gości, opisywały stroje, któremi miały zastąpić skromny mundurek szkolny w czasie Świąt, inne słuchoły z zachwyceniem, wzdychając czasem z cicha, na myśl, że one tych rozkoszy nie doznają w cichém mieszkaniu swojej rodziny, ale po chwili zapominały o wszystkiém i radowały się nadzieją powitania tych, których kochały, obejrzania miłych ścian swojego domku.

Jedna tylko pensyonarka nie podzielała ogólnego ożywienia, nie należała nawet do rozmowy, o pakowaniu rzeczy nie myślała; siedziała cichutko przy oknie i spoglądała w dziedziniec, gdzie przecież nic ciekawego obaczyć nie mogła. Była to panienka, mogąca mieć około czterestu lat, miłej bardzo powierzchowności; w tej chwili, czarne jej oczy miały rzewny wyraz smutku i zamyślenia. Dziewczęta zajęte swojemi pakunkami nie zwracały na nią uwagi, siedziała więc cichutko, nie odwracając głowy od okna i nie odzywając się do nikogo. Jedna tylko pensyonarka tegoż samego wieku parę razy zbliżyła się do milczącej dziewczeczki i przemówiła do niej, ale nie otrzymawszy żadnej odpowiedzi, powracała do swojego zajęcia. Gdy jednak upakowała wszystko i walizkę swoją zamknęła, a kluczyk włożyła do podróżnej torebki, przysunęła sobie krzesło do okna i usiadła obok zadumaniej koleżanki.

Dwie dziewczeczki wcale nie były do siebie podobne, ale prześlicznie wyglądały jedna przy drugiej, a w tej chwili tworzyły obrazek godny pędzla malarza. Pierwsza wysoka, smągła, miała oczy czarne, pełne głębokiego wyrazu, czoło wyniosłe, włosy krucze, splecione w dwa grube warkocze; druga drobniejszych kształtów, biała, rumiana, jasno-włosa, o niebieskich oczach pełnych figlarnego wdzięku. Usiadłszy przy towarzysze, objęła ją tklawie ramieniem i jasną główkę zbliżyła do

jěj twarzy, zaglądnąjąc jēj w oczy z tak serdeczném współczuciem, że tamta, jakby za nagłém poruszeniem jakiej czulej struny, wybuchła długo tłumionym płaczem i twarzyczkę w dłoniach ukryła.

— Helenko, moja droga Helenko — rzekła jasnowłosa dziewczeczka z uczuciem — tak mi ciebie żal, że nawet nie mogę się cieszyć, jak zwykle, wyjazdem na Święta. Jak pomyślę, co ty tu sama będziesz robiła, podczas, gdy ja u babci taką wesołą wigilią mieć będę... Ach, doprawdy, nie pojmuję, jak mogli twoi rodzice wyjechać i ciebie samę zostawić...

— Nie mów tak, Anulko — przerwała tamta żywo — rodzice musieli to zrobić. Czyż ci nie mówiłam, że mama zagrożona była chorobą piersiową i lekarze kazali jēj koniecznie zimę spędzić w Nicei. Ojciec nie mógł jēj puścić samęj.

— Wiem ja to wszystko, ale czemuż ciebie nie zabrali z sobą?

— I w tém także rodzice postąpili tak, jak im rozsądek nakazywał—powiedziała Helenka, obcierając oczy — ja jestem w tym wieku, że potrzebuję się uczyć, a cóżby to była za nauka, gdybym była z rodzicami pojechała? Mama chora, potrzebuje spokoju, nie mogłaby się mną sama zajmować, a zabierać nauczycielkę, to znów koszt i kłopot niesłychany. Długo nad tém radzono, ojciec w końcu powiedział stanowczo, że i dla mamy, i dla mnie, najlepiej będzie, gdy zostanę na pensyi pani Wrońskiej, która oddawna znana była dobrze moim rodzicom i przyrzekła opiekować się mną, jak matka.

— Ba! pani Wrońska wszystkiemi uczennicami opiekuje się, jak matka; dobrze nam tu bardzo, to też przez cały rok szkolny nawet i pieszczochy niezbyt tęsknią do domu; ale jak przyjdą Święta, wakacje, to jednak serce się rwie do swoich i gdyby mi tak naprzykład jakieś niespodziane okoliczności przeszkodziły pojechać do babci, to nie wiem doprawdy, cobym robiła.

— Czy tam wesoło u twojēj babci, czy dużo gości bywa? liczne pewnie macie sąsiedztwo.

— Och, nie, moja Helenko; babcia od śmierci moich rodziców, od lat dwunastu, prawie nigdzie nie bywa, a i do nas rzadko kto zajrzy i to po większej części osoby starsze. Liczni goście nie zjeżdżają się nigdy, bo i ciocia Kasia nie lubi zabaw i światowego towarzystwa. Ale żebyś wiedziała, jak tam u nas miło, jaka babcia jest dobra, jak mnie kocha, a ciocia Kasia... ach! ta ciocia, to anioł prawdziwy. Ja nic a nic nie pamiętam mojēj mamy, bo dwóch lat jeszcze nie miałam, gdy umarła, ale wszyscy mówią, że była jak dwie krople wody do cioci Kasi podobna.

— Widzisz, Anulko — rzekła Helenka przy-

tulając pieszczotliwie towarzyszkę do siebie—czyż to nie byłby grzech z mojēj strony, gdybym ja narzekała i smuciła się tém, że nie obaczę rodziców na Święta? ja powinnam być wdzięczną Bogu, że mi ich zachował przy życiu. Wczoraj miałam list od nich, mama daleko zdrowsza, dzięki Najwyższemu, na wiosnę powróci, więc ją obaczę. Parę miesięcy tak prędko minie, a Święta jeszcze przędź, kilka dni, cóż to znaczy.

A jednak, mówiąc to, Helenka westchnęła głęboko i znowu twarz ukryła w dłoniach.

— Anna Malicka! do salonu! Jakaś pani się o nią pyta! — ozwał się z za drzwi głos jednej z pensyonarek, która nie zatrzymując się pobiegła dalej.

— Ciocia Kasia! — krzyknęła Anulka, jednym susem była już we drzwiach i poskoczyła do salonu pędem strzały.

Helenka, pozostawszy samą, znowu się zwróciła do okna, patrząc w dziedziniec, białym śniegiem usypany, a przed oczyma jēj duszy przesuwwały się dalekie obrazy zielonych gajów włoskich, o których jēj matka pisała, fal morskich, pluskających pianą białą na wybrzeża, wysokich masztów okrętowych; w tém otoczeniu widziała ukochane twarze rodziców, smutne, bo także za nią stęsknione, i znowu lży jēj oczy zamgliły. Ale Helenka miała dużo rozsądku, jak widzieliśmy z wyżej przytoczonej rozmowy; starała się więc przewyciężyć swój smutek, rozgarnęła włosy na czole, przyłożyła dłonie do rozpalonych policzków, odetchnęła głęboko, potem wzięła książkę do ręki, jakiś zajmujący opis podróży, który jēj pani Wrońska przyniosła przed godziną, i zaczęła czytać. Nie szło jēj to zrazu, musiała po dwa i trzy razy odczytywać jeden ustęp, bo myśl odrywała się od czytania i bujała gdzieindziej, ale w końcu ciekawy przedmiot uwagę jēj opanował. Cisza tymczasem zaległa pokoj pensyonarek, dziewczęta rozbiegły się po innych salach, kończąc przygotowania do podróży, układając książki i kajety, które miały tu zostawić, Helenka sama jedna siedziała przy oknie.

Wtém drzwi się otworzyły, wbiegła najpierw rozpromieniona Anulka, potem osoba średnich lat, miłej niezmiernie i łagodnej powierzchowności, w kapeluszu podróżnym, a za niemi pani Wrońska, przełożona pensyi.

— Helenko! — zawołała Anulka, rzucając się na szyję koleżance — czy tybys nie chciała pojechać ze mną na Święta do mojēj babci? Pani Wrońska pozwala. Ciocia Kasia przysłała cię o to prosić.

— Moje dziecko — rzekła pana Katarzyna, ciotka Anulki — ja znałam dobrze twoję matkę, gdy jeszcze panną była, i dla ciebie więc nie po-

winnam być zupełnie obcą. Moja siostrzenica powiada, że się bardzo kochacie. Ja sędzę, że ci będzie weselój spędzić z nią Święta na wsi; pomyśl, czy zgadzasz się?

Helenka powstała, dziwnie wzruszona i rozrzuwniona, ale nie mogła w pierwszej chwili zdobyć się na odpowiedź.

— Jestem pewna, moja Helenko — odezwała się pani Wrońska, — że rodzice twoi nie sprzeciwiliby się temu, gdybyśmy mieli czas prosić ich o pozwolenie. Zresztą ponieważ na mnie obecnie zleli swoje prawa, więc ja to biorę na siebie. Sądzę, że przejażdżka i pobyt na wsi na zdrowie ci posłużą, a pannie Katarzynie mogą zaufać, jak samój sobie. Więc, moje dziecko, zostawiam to do twojój własnej woli.

Mówiąc to wyszła, a Helenka i teraz nic nie odpowiedziała, tylko rzuciła się w objęcia panny Katarzyny, która ramiona do niej wyciągała. Anulka klasnęła w ręce i zawołała wesoło:

— Jedzie, jedzie! pakujemy rzeczy!

Zabrano się do roboty z pomocą czynnej cici, a już samo to pakowanie i przygotowania do podróży były rozrywką dla naszój Helenki, która też rozweseliła się zupełnie. Gdy w parę godzin później zajechała karetą podróżna na saniach, wszystko już było gotowe, walizka zamknięta, a Helenka, przewiesiwszy torebkę przez plecy, wkładała do niej jeszcze różne drobiazgi, zamykała szufladki, porządkowała, nakoniec pobiegła wraz z Anulką i panną Katarzyną pożegnać panią Wrońską, poczem otuliwszy się w futra i ciepłe chustki włóczkowe, nasze dziewczęta wskoczyły do karety, a gdy konie ruszyły, serdecznie się uściskały z wielkiej radości.

Sanna była wyborna, kilka godzin upłynęło jak jedna chwila, ożywiona rozmowa nie ustawała przez czas cały, ciocia Kasia umiała wybierać do niej przedmioty najmilsze dla Helenki. Opowiadała tedy, jak była kiedyś na pensyi razem z jej matką, przypominała sobie różne drobne wydarzenia z tych czasów, niektóre były tak zabawne, że obie dziewczętki pokładały się od śmiechu. Potem znów rozpytywała o wykłady na pensyi pani Wrońskiej, porównywała dzisiejszy program nauk z dawniejszym a miała sąd tak trafny, taki zdrowy pogląd na rzeczy, że można było dużo skorzystać z jej rozmowy. Panna Katarzyna miała w sobie coś tak serdecznego, tak pociągającego, że Helenka ani się opatrzyła, jakim sposobem przylgnęła do niej tak, jak gdyby ją od lat kilku znała.

Dopiero gdy woźnica z głośnym trzaskaniem z bicza zajechał przed ganek wielkiego starego

dworu, Helenka zawołała nagle, niespokojnie troszkę:

— Ale cóż powie twoja babcia, Anulko, na mój przyjazd niespodziewany?

— O, babcia będzie taka rada — odrzekła Anulka, a wyskoczywszy z karety wbiegła pędem na ganek, przeleciała jakby na skrzydłach się i parę pokojów, i jak bomba wpadła do bawialni, gdzie przy kominku siedziała sędziwa pani Łącka, jej babka.

— Anulko, nie biegnij tak prosto z zimna do babci, bo ją zaziębisz — wołała panna Katarzyna, pośpieszając za nią — rozbierz się naprzód, babcia zakatarzona.

— Ach, cóż mi tam ma zaszkodzić — mówiła staruszka, zrywając się żwawo z fotela — czy to ja jestem ze szkła, czy z cukru?

Ale Anulka na głos ciotki odskoczyła szybko w tył, wołając z drugiego pokoju:

— Zaraz, babciuniu, zaraz, już skoro przyjechałam, to nie ucieknę przecież, niech babcia troszkę cierpliwości się nauczy. Zdejmę futerko i kapturek, a potem za to będzie babcia miała aż dwie wnuczki zamiast jednej.

— Co ona plecie, ten sowizdrzał mały — ozwała się babcia — będzie mnie cierpliwości uczyła, patrzcie ją! jakie to tegoczesne dzieci.

— Już nie wiem, jakie tam były dawniejsze, ale pewnie nie kochały więcej swoich babunierek; nie, nie, z pewnością nie — mówiła pieszczona dziewczeczka i całowała z czułością ręce staruszki, a potem chwytając za rękę Helenkę, przedstawiła ją w tych słowach:

— A to, babciu, przybrana moja siostrzyczka na całe Święta, a jak zechce, to i na całe życie. Niechże ją babcia uściska, bo ona w tej chwili spragniona jest bardzo pieszczot.

Dobra babcia wzięła obcą dziewczętkę w objęcia, nie pytając o nic, dopiero po chwili panna Katarzyna całą rzecz wyjaśniła. Helenka ucałowała czule rękę staruszki i odrazu uczuła się w tym zacnym domu, jakby w gronie własnej rodziny. Podano obiad późny przy świecach, bo babcia czekała na swoje kochane podróżne, potem cały wieczór zszedł mile i wesoło na rozmowie przy kominku, gdzie panna Katarzyna i obie dziewczętki zasiadły obok staruszki. Dziesiąta godzina wybiła na wielkim zegarze stojącym na kominku:

— Pora spać — rzekła ciocia Kasia — ja babcię odprowadzę do sypialnego pokoju, a ty Anulko zajmij się swoim gościem. Kazałam Helence posłać w twoim pokoiku, czy dobrze tak będzie?

— O, dobrze, doskonale! — zawołały obie przyjaciółki.

— Tylko proszę mi nie rozmawiać zbyt długo

i wcześniej usypiać — dodała panna Katarzyna — bo jutro was wcześniej pobudzę. Mnóstwo mamy tu roboty przed Świętami, musicie mi dopomóć, moje panienki.

I wszyscy się rozeszli, pogaszono światła, cisza zaległa w całym domu; ale nasze dziewczątka, pomimo zalecenia ciotki, nie mogły usnąć zaraz i w łózkach jeszcze rozmawiały po cichu, żeby nie przeszkadzać pannie Katarzynie, która w sąsiednim pokoju nocowała.

— Moja Anulko — pytała Helenka — powiedz mi, jaka tu u was może być taka wielka robota na Święta, jeżeli gości żadnych nie będzie, tylko domowi? Przecież do wieczery, nawet najwykwintniejszej, nie potrzeba znów takich nadzwyczajnych przygotowań, jeśli się ją na kilka osób urządza.

— Ach, co do wieczery, ta u nas nigdy nie była zbyt wykwintna i tём znów nie warto byłoby tak bardzo się zajmować; od czegoż zresztą jest kucharz Józef? My wcale co innego mamy na głowie z ciotką Kasią, zobaczysz.

— Ale cóż takiego, Anulko?

— Śpij, śpij, bo ciotka posłyszysz i będzie bura. Zobaczysz jutro, to będzie niespodzianka.

— Zawsze, jeżeli nie będzie wcale gości...

— A któż ci powiedział, że ich nie będzie wcale?

— Ty sama mówiłaś, że babcia twoja nigdzie nie bywa i do was też rzadko kto przyjeżdża.

— Mówiłam, mówiłam, to prawda, ale przecież nie żyjemy tu na bezludnej wyspie... Ej, co to wiele mówić, obaczysz, a tymczasem śpijmy.

Przejażdżka na świeżem powietrzu, a do tego w mroźny dzień zimowy, jakkolwiek nie była długa ani nużąca, usposobiła jednak do snu nasze dziewczeczki i Helenka nie dała się długo namawiać, zgasiła świecę; ale przed usnięciem snuło jej się ciągle po głowie, jakie to jutro przygotowania do Świąt miały się rozpocząć i co ona w tём dopomóć mogła, i jakich to gości się spodziewano, aż w końcu wszystko zaczęło jej się plątać w głowie. Ujrzała pannę Katarzynę młodą panienką, w mundurku pensjonarskim jakiegoś starodawnego kroju i swoją mateczkę w takim samym, a siebie z Anulką w długich białych fartuchach, z rękawami zatoczonemi po łokcie, a przed niemi stała ogromna niecka z ciastem, które obie powinny były wymiesić, i wyrobić z tego niezliczoną ilość strucli. Potём wszystko znikło; aż naraz usłyszała szmer jakiś, przebudziła się i obaczyła, że już biały dzień, a Anulka w spodniczce, kaftaniku i czepeczku nocnym, przechadza się po pokoju na palcach, żeby jej snu nie przerywać.

— Ja już nie śpię, nie śpię — wołała przecierając oczy — któraż to godzina?

— Wyobraź sobie, już po dziewiątej.

— Po dziewiątej! a ciotka twoja miała nas wcześniej pobudzić!

— Ba! żartём tak tylko mówiła. Czyżby to ciotka Kasia nie dała się wyspać gościowi i swojej pieszczoszce po podróży.

— Spać do dziewiątej, Anulko, zlituj się, jak my zdążymy na śniadanie.

— Oho! już teraz nie zdążysz w porę. Babcia z ciotką dawno wypily kawę, ciotka poszła do gospodarstwa; ale bądź spokojna, babcia tam pewnie czuwa nad tём, żeby śniadanie było gorące dla nas. Święta mają swoje prawa.

Dziewczęta ubrały się żwawo, w sali jadalnej zastały rzeczywiście babcie, układającą sucharki, bułeczki, świeże masło i garnuszki ze śmietanką; panna Katarzyna nadeszła także niezadługo.

— No, teraz, moje panienki, po śniadaniu zabieramy się do roboty.

Ciekawość Helenki miała być przecież zaspokojona. Co to za robota? powtarzała sobie, idąc wraz z Anulką do pokoju panny Katarzyny. Tu dopiero nastąpiło wyjaśnienie zagadki. Na stoliku stał duży kosz, a w nim pełno rozmaitych szmatek kolorowych, wstążeczek, błyskotek, kwiatków robionych; czego tam nie było w tym koszu! Bo też, jak o tём później dowiedziała się nasza Helenka od przyjaciółki, gromadziło się to wszystko przez rok cały i w domu, i poza domem. Bliżsi znajomi nieraz obdarzali pannę Katarzynę różnemi takimi drobiazgami, które im już nie były na nic potrzebne, a ona je przyjmowała z wdzięcznością i chowała do kosza.

(D. n.).

## MITOLOGIA SŁOWIAŃSKA.

DAWNE ZWYCZAJE PRZYWIĄZANE DO ŚWIĄT ZIMOWYCH.

Nieraz już wspominaliśmy naszym czytelnikom, jak to kapłani chrześcijańscy, przy wprowadzaniu wiary prawdziwej w krajach pogańskich, starali się zatrzeć pamięć bóstw dawnych, ustanawiając obchód uroczystości chrześcijańskich w tём samej porze, kiedy przypadały święta pogańskie. Tak samo, jak w świątyniach Jowisza lub Apollina wznoszono ołtarze Bogu prawdziwemu, tak i dni, w których dawniej różnym bożkom składano ofiary, przeznaczono na solenne nabożeństwa, i uczczenie tajemnic świętej wiary naszej, ażeby wszędzie światło zajęło miejsce ciemności. Tym sposobem w wielu krajach, zwłaszcza pomiędzy

Słowianami, przechowało się dużo zwyczajów, dawniej przywiązanych do pogańskich obrzędów, a później dołączonych bez żadnej złej myśli do chrześcijańskich uroczystości.

Mówiliśmy już także o tém, jak to ludzie, zatraciwszy znajomość Boga prawdziwego, Stwórcy wszechrzeczy, zawsze cześć oddawali objawom Jego potęgi, zjawiskom i siłom przyrody, nadając im różne urojone postaci: to gromowładnego Jowisza, to Apollina, jadącego na słonecznym wozie. Prawie wszędzie główną cześć oddawano słońcu, które wszystko dobroczynnym swém ciepłem ożywia. Nadto u wszystkich ludów, pochodzących ze szczepu aryjskiego, to jest z rodu Jafeta, panowało pojęcie o bóstwach dwojakich, dobrych i złych. Dobre zawsze wprawdzie zwyciężać miały w końcu, ale złe broiły niemało i oddawano im cześć przez obawę. U Persów, wyznawców Zoroastra, bożek dobry nazywał się Ormuzd, czyli Ahura-Mazda, a zły Aryman. U Indyan jest także dobry Brama i zły Sziwa. I Słowianie mieli swoje dobre bóstwo, nazywali je Bielbogiem, złe zaś nosiło nazwę Czernoboga. Przy tych bóstwach głównych namnożyło się mnóstwo innych podrzędnych, które stanowiły niejako ich orszak. Pomiędzy dobrymi bóstwami, najpierwsze miejsce zapewne zajmowało słońce, jasność siejące na ziemię, a więc będące najwłaściwszym obrazem białego boga.

W dawniejszych czasach, gdy ludzie jeszcze nie byli tak przemyślni, jak obecnie, nie umieli sobie urządzić tak wygodnego życia, zima, nie tylko dla nędzarzy, ale dla każdego była straszna. Pra-praojcowie nasi nie umieli sobie wytłómaczyć zmian rozmaitych pór roku sposobem naukowym; widząc więc, że słońce coraz się staje zimniejsze, dni coraz krótsze, a świat cały zdaje się zamierać, wysnuli w bujnej swój wyobraźni całą baśń z tego zjawiska. Powiedzieli sobie, że słońce musi być jakąś istotą żyjącą, która, tak samo jak człowiek, rodzi się, rośnie, dochodzi do wieku dojrzałego, nabiera wówczas sił i jest potężne, potem znów pochyła się do starości, słabnie i w końcu umiera. Ale ponieważ doświadczenie ich nauczyło, że choć słońce w porze zimowej wygląda, jakby zgrzybiałe, jednak znowu następnie dochodzi do dawniej świetności na wiosnę, a zwłaszcza latem, więc wyobrazili sobie, iż wśród zimy musi się rodzić nowe słońce, i znów przez cały rok wzrasta w siły i zamiera. Uważali to zapewne za jakąś walkę dobrych bóstw ze złemi, myśleli, że złe bóstwo zimy i ciemności usiłuje pokonać światło i ciepło, że w końcu jednak następuje zwycięstwo dobrego. Przy końcu Grudnia, jak wiecie, przypada przesilenie dnia z nocą, to jest, dzień przestaje się zmniejszać i powoli przedłużać się zaczyna. Otóż,

gdy to zauważyli starożytni ludzie, zaczęli w tej porze obchodzić różnymi obrzędami narodziny młodego słońca; Słowianie nazywali to rodzące się bóstwo *Bożiczem*.

Opatrzność chciała, że narodzenie Chrystusa przypadło właśnie w tej porze roku. Skorzystał z tego kościół chrześcijański i ustanowił na miejscu dawnych świąt pogańskich na cześć narodzin słońca, uroczystość Bożego Narodzenia, która jest pamiątką przenaświętszej tajemnicy wiary naszej, zstąpienia na ziemię prawdziwej światłości. Nie wzbraniali jednak kapłani nawróconym poganom zachowywać obok nabożeństwa kościelnego różnych niewinnych zwyczajów narodowych, którym też ze zmianą wyobrażeń zaczęto nadawać inne znaczenie.

Do tych zabytków dawnych, pogańskich, należy niezapreczenie wieczerza wigilijna. Zwyczaj ten pochodzi zapewne z tych czasów, gdy w godzinie wieczornej składano ofiary młodemu rodzącemu się słońcu i na cześć jego urządzano ucztę. W dawnych pieśniach różnych słowiańskich plemion odszukano bardzo ciekawe szczegóły o tych narodzinach *Bożicza*.

Miało to się odbywać w raj, gdzie rośnie drzewo o złotych i srebrnych liściach, ze złocistymi jabłuszkami. Domyślcie się, że ztąd musiał powstać zwyczaj urządzania choinki, przystrojonej złocistymi owocami i świeczkami. Wyobrażano sobie nawet, że owej nocy, gdy młode słońce się rodzi, raj jest otwarty i możnaby wejść do niego. Stara baśń ludowa powiada, że zła macocha wypędziła dziewczynę wśród nocy na mróz zimowy, mówiąc jej przez szyderstwo, aby poszła do lasu na jagody. Dziewczyna trafiła do raj, i znalazła jagody, bo tam wiecznie kwitną drzewa i owoce dojrzewają.

Zwyczaj dawania podarunków na kolendę i sama nazwa *kolendy* także z tych starożytnych czasów się przechowała. Święto zimowe zwiastowało nadejście wiosny i lata, obfitość darów przyrody, zboża i owoców dostatek, było świętem nadziei i radości, ztąd wypływał obowiązek dzielenia się dostatkami z innymi, obdarzano się więc wzajemnie i do dziś pozostało to we zwyczaju. Obrazem tej spodziewanej obfitości była uczta, złożona z licznych potraw, pomiędzy którymi musi być i słodkie jadalno. Na Mazowszu urządzają mak z miodem, na Litwie, Ukrainie i w wielu innych okolicach tak zwaną *kucyą*, z pszenicy, maku i miodu. Snopy zboża, ustawione w pokoju, gdzie się wieczerza odbywa, przypominają żniwo, a siano pod obrusem, zieloność łąk, to jest lato, zapowiedziane przez narodziny młodego słońca. U chrześcijan jednak zapomniano o tych dawnych wyo-

brażeniach, a sianko zaczęło przypominać żłobek, w którym Chrystus na sianku spoczywał. Uczta zaś przybrała chrześcijański charakter, i weszło w zwyczaj dzielić się przy niej opłatkiem, który jest symbolem chleba żywota.

Nie potrafimy wam jednak objaśnić dokładnie, skąd pochodzi nazwa kolendy. Jedni wyprowadzają ją od łacińskiego wyrazu *calendae*, który oznaczał pierwszy dzień miesiąca, stąd dzisiaj kalendarz. Inni znów utrzymują, iż w mitologii słowiańskiej było osobne bóstwo, zwane Kolada, a miała to być matka rodzącego się słońca, Bożica. W dawnych pieśniach napotyka się wzmianki o takiej bogini Koladzie, jak to ona ucieka przed bóstwem zimy, Karaczunem, a za nią pędzą straszne wilki, zapewne zamiecie śniegowe i sam Karaczun w postaci niedźwiedzia, a w końcu Kolada chroni się do raju ze swoim dzieciątkiem.

W wielu okolicach krajów słowiańskich krążą różne zabobony przywiązane do nocy Bożego Narodzenia. I tak, często między ludem panuje przekonanie, iż w tej porze są sposoby odgadywania przyszłości. Więc młodzię wychodzi o samą północy i zagłada w wodę, sięga pod lód, a z wyciągniętego przedmiotu wyprowadzają się wróżby. Zabobon ten urósł właśnie z tego wyobrażenia pogańskiego, że raj otwiera się w noc cudowną narodzenia słońca, a w raju zapisana jest przyszłość, więc możnaby ją tam podpatrzeć.

U południowych Słowian, Bułgarów, Serbów, Chorwatów, w wieczór wigilijny osobliwszy zachowywany jest zwyczaj, najwyraźniej przypominający czasy pogańskie. Tam wigilia nazywa się, niewiadomo dla czego, *badni dan*, a pierwsze święto *Botic*. Przed wieczerzą wigilijną gospodarz wnosi do izby wielką kłodę dębową, zwaną *badniak*, składa przytém życzenia pomyślności całej rodzinie. Namazują drzewo to miodem, obsypują ziarnem i kładą na ogień. Potém wszyscy, przed rozpoczęciem uczty, zapalają świece woskowe, całują się i składają sobie życzenia, następnie wkładają świece zapalonemi końcami w garnek napełniony ziarnem, ustawiony na stole i gaszą je tym sposobem. Spalenie badniaka odbywa się bardzo uroczysto, goście rozbijają go pogrzebaczem, życząc gospodarzowi, aby tyle miał dobytku, ile iskier się sypie z tej kłody, głównię niedopaloną gospodyni wnosi do ogrodu, w przekonaniu, że użyźni ziemię, a popioł używany jest jako lekarstwo w chorobach bydła.

Zwyczaj ten w uderzający sposób przypomina cześć ognia, która była u wszystkich dawnych Aryjczyków głównym religijnym obrządkiem. W niektórych okolicach Bułgarii w wieczór wigilijny gaszą wszelki ogień w domu i rozpalają nowy, za

pomocą tarcia dwóch kawałków suchego drzewa o siebie. Takie dobywanie ognia w prastarych czasach pogańskich u wszystkich Aryjczyków miało znaczenie religijne. Przyrząd używany do tego, zwał się w języku sanskryckim, staro-indyjskim, *Pramanta*; stąd pochodzi baśń mitologii greckiej o Prometeuszu, który miał wykraść ogień z nieba.

Dla nas dzień Bożego Narodzenia jest radosną pamiętką przyjścia na świat Zbawiciela, ale ludowe zwyczaje, przywiązane do tej uroczystości, przypominają starodawne obrządki, przez pogańskich naszych, przodków obchodzone. Wszystko zaś, co się tyczy przeszłości narodu, jest nadzwyczaj zajmujące, gdyż wyjaśnia starożytne jego dzieje, a przytém ma taki urok, jaki mają dla każdego wspomnienia jego dzieciństwa. Te dawne czasy były dzieciństwem naszego narodu.

M. J. Z.

## WŁADYSŁAW ŁOKCIK.

### Obrazek dramatyczny.

przez M...a.

(W jaskini, w skalach Ojcowskich, której strop i ściany tak-  
two udać można za pomocą porozwieszanych ciemnych opon,  
w ciemnościach, przy małym tylko ognisku na środku, siedzi  
i leży kilku górali i wieśniaków: Wojtek, Antek, Józwa, Bar-  
tek, może ich być i więcej; pięką kartofle, słuchając bajki  
ciekawie).

WOJTEK (kończąc opowiadanie bajki powoli i przeciągle).

Więc chłopu dał król...  
Połowę swych pól...  
I córkę za żonę mu dał...  
I zaraz był ślub...  
I groszy sto kóp...  
We wianie z królowną chłop miał!  
I trwało wesele...  
Przez cztery niedziele!...  
I ja tam byłem...  
Miód wino piłem...  
Po brodzie kapąło...  
W ustach nie pozostało...  
I kwita! \*)

WSZYSCY (śmieją się).

Prześliczna gadka! dziękuję Wojtkowi!

WOJTEK.

Z kolei teraz niech Antek co powie,  
Przy bajkach prędjéj nam zejdzie czekanie,  
I gromy przejdą i burza ustanie.

\*) Pospolite zakończenie ludowych bajek w ustach ludu, tak zwanych *gadek*.

## ANTEK.

Czekajcie, ino zobaczę na dworze,  
Czy długo jeszcze nam siedzieć w tój norze.  
*(Idzie na bok do otworu jaskini, wygląda, i cofa się z przestraczem).*

O, jakaż burza! strach bierze, la Boga!  
Pioruny huczą! ulewa tak sroga,  
Że chyba jeszcze straszniejsza niż w chwili,  
Kiedyśmy przed nią w tę norę się kryli!...

JÓZWA *(stary z siwą wielką brodą).*  
Ej, widzi mi się, że wszystkie te zmiany,  
To kara za to, co broją te pany!...

BARTEK *(także stary).*

A może!... juźci, że bijąc się z sobą  
Krewniacy, dręczą kraj ciężką żałobą!  
*(Od wejścia jaskini ukazuje się niski, krępy człowiek w habitacie, który ujrawszy rozmawiających kryje się za skalę).*

BARTEK *(mówiąc dalej).*

O pomstę woła łan bratnią krwią zlany;  
Gniew Boski na nas ściągają złe pany.

JÓZWA *(kiwając siwą głową, z namysłem).*  
Bolesław, Henryk, Przemysław niecnota,  
Król Łokcik, Waclaw, każdemu ochota  
Panować ludziom, jak dawni Piastowie,  
Szeroko, siedząc na starym Krakowie;  
Aliści który z nich chwyci koronę,  
Niepomny juźci na dziady rodzone,  
Niecnotą, albo się skazi niezdarstwem.  
A my wciąż jęczym gnieceni Tatarstwem,  
Swawolą pana własnego okrutną,  
Lub głodem, płacząc na dolę tę smutną,  
Ze ni to człowiek, ni lato, ni zima,  
Zwyczajów starych się teraz nie trzyma;  
Więc latem chłody, a porą zimową  
Okrutne burze nam huczą nad głową,  
Ze człek do chaty się dostać nie może;  
Zły wilk bydełko nam rwie na ugorze,  
Przepada ziarno do ziemi rzucone,  
Choroby, bieda, gdzie spojrzeć na stronę!  
Toż krwi to strumień, na ziemię rozlany,  
Nieszczęścia takie nam ściąga na lany!...  
Zaś wszystko mija, a bieda bez końca!  
O Boże! kiedyż nieszczęsnych obrońca  
Powstanie w ludu biednego obronie,  
I ojcem będzie nam w Piastów koronie!

## ANTEK.

Już chyba nie z tych, bo wszyscy jednacy  
Królowie owi i tamci Szlązacy,  
Co teraz pono tam w starym Krakowie  
Mieszczanom kolki ciosają na głowie;  
I nam jest bieda i im nie inaczej.

BARTEK *(do Antka).*

Młodyś, ta głupi!... więc ci się wybaczy;  
Nie mięszaj z nimi ty króla Łokcika!

Ja znam go! łuszcza zna także go dzika,  
Tatarska owa! to jeden król prawy,  
Piastowej dziedzic korony i sławy.

ANTEK *(zawstydzony).*

Toż wiem, nie chciałem rzec przeciw królowi,  
Sam język czasem nie zgadnie, co powie.

BARTEK *(jeszcze gniewny).*

Król Łokcik jeden, gadajcie co chcecie,  
To pan, jakiego nie znaleźć na świecie:  
Nie Szlązak spasty, ni Czech chytrój mowy;  
On w dłoni krzepki, i rozum ma zdrowy,  
On jeden umie rozmówić się z ludem,  
Podzielić chlebem, i sercem, i trudem;  
On jeden mógłby Piastową koroną,  
Zjednoczyć ziemię, waśniami skłóconą.

WSZYSCY.

To wstańmy wszyscy i ojcem nad nami  
Uczyńmy Łokcia pomiędzy Piastami.

*(Człowiek w habitacie postępuje ku wieśniakom zwolna, niewiedziany).*

JÓZWA *(kiwając siwą głową i patrząc po nich).*  
A cóż on zrobił, gdy zbiwszy Szlązaków,  
Już posiadał prawie i Polskę i Kraków?...  
Królewskież tamte postęпки to były,  
Przez które stał się nam wszystkim niemiły?...  
Ludowi, szlachcie, mieszczaństwu i księżom...  
Swawole takie przystojneż są mężom?  
Czy taką drogą Bolesław szedł mężny,  
Tak dobry, chociaż był taki potężny?...

*(Człowiek w habitacie zakrywa twarz dłońmi i cofa się napowrót za skalę).*

JÓZWA *(mówąc ciągle).*

Czy takim bywał Kazimierz nasz prawy?...  
Czy tak to Piasty chadzali do sławy?...  
Pradziadom w grobach wstyd czynią prawnuki!  
Nieszczęścia przetoż tak, jakby złe kruki,  
Latają nad nim w szarpaniu zdradzieckiem,  
A lud choć płacze nad królów swych dzieckiem,  
Już serca przecież nie odda mu więcej,  
Aż chyba Boga w pokorze dziecięcój,  
Przebłaga Łokcik za ciężkie swe grzechy,  
By nowych gromów nie ściągnął na strzechy  
Tych chat, gdzie serca dlań biją gorąco!...

*(Człowiek w habitacie postępuje nagle naprzód, kaptur mu spada, on w umiesieniu, ręce wznosząc do góry, woła):*

CZŁOWIEK W HABICIE.

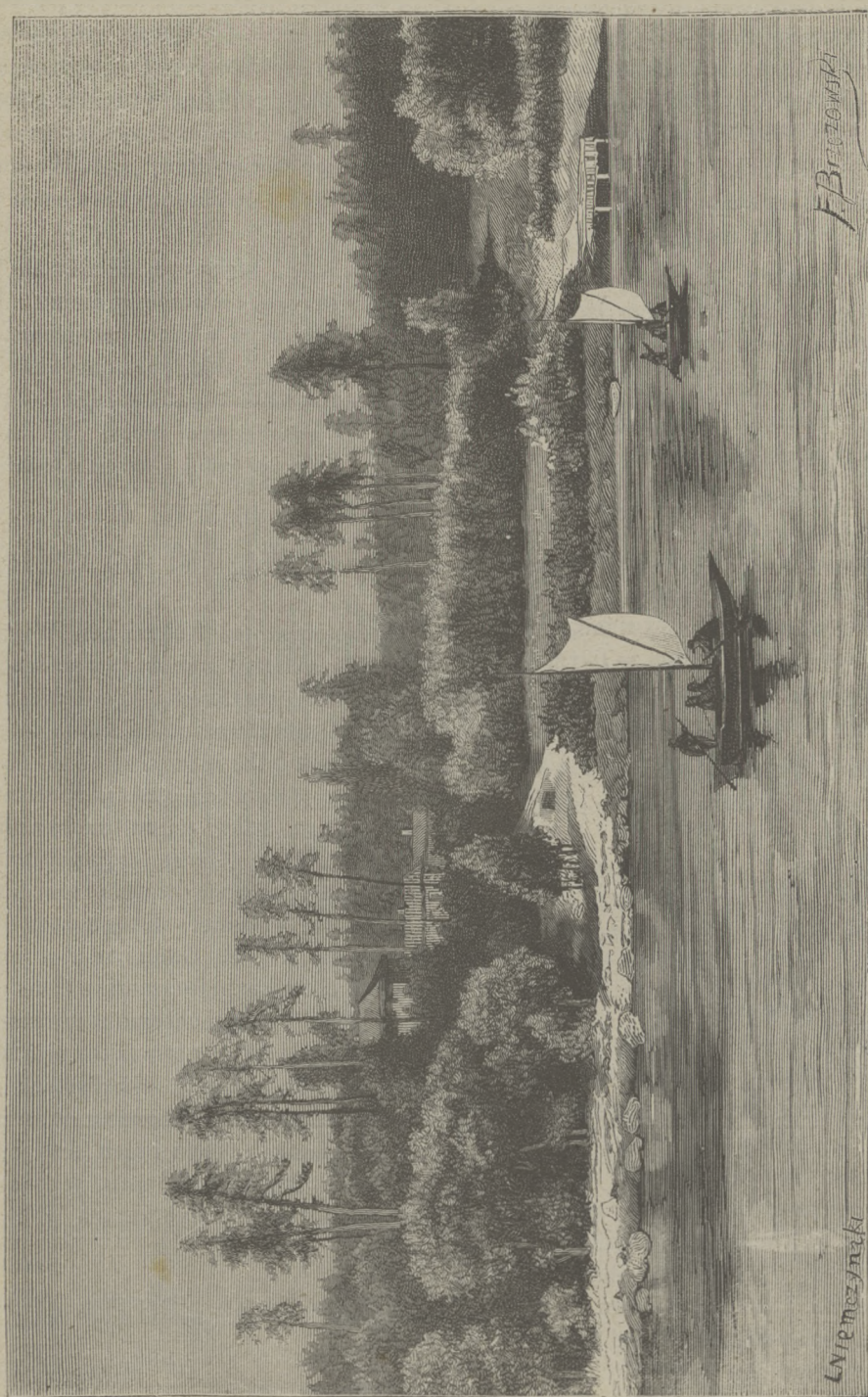
O Boże! dzięki! Ty, który karzący  
Prawicą Swoją, przez usta mi ludu  
Wskazujesz drogę: pokory, do cudu!...

*(Wszyscy zrywają się gwałtownie, najprzód Bartek i Józwa, za nimi wszyscy padają na kolana przed człowiekiem w habitacie).*

BARTEK.

Król Łokcik!





Zwierzyńiec pod Wilnem (str. 826).

JÓZWA.  
Król nasz!

WSZYSCY.

Król! Boże serdeczny!

KRÓL.

Ostrożnie, ludu! jam zbieg! niebezpieczny!  
W habicie oto uciekłem z Krakowa,  
Gdzie ceną wielką znaczona ma głowa!  
A za to własna niepewna jest głowa,  
Tego, kto Łoktka zbiegłego przechowa!..

BARTEK.

Na skraju lasu mam chatę i roje,  
Tam mieszka! one nie moje, a twoje!

JÓZWA.

Ja w skałach chatę mam mniejszą, lecz bliżej,  
Ztąd w pacierz zajdzie, kto w nogach jest chyży!

WSZYSCY.

Niech sam wybierze król, pan nasz, ochronę,  
Gdzie wstąpi, progi te błogosławione!

KRÓL.

Nie pójdę nigdzie, i was nie narażę!  
Na głazach spocznę, ot tutaj, w pieczarze;  
Oświecił Bóg mię słowami waszemi,  
Jam pątnik! wróć na króla mój ziemi,  
Gdy grzechy moje zniweczy tam w Rzymie  
Pokuta! albo, niech zginie me imię  
Wprzód, nimby gromy przynosić wam miało!

JÓZWA (po namyśle, kładąc swą sukmanę na ziemi).

To dobrze! w progu przetrwamy noc całą,  
Śpij, królu!

(Wszyscy zdejmują sukmany i ścielą z nich postanie królówi.  
Bartek wyciąga z popiołu kartofle i układa je bardzo pięknie  
w kupkę na wierzchu swojej białej czapy, podając królówi).

BARTEK.

Są tu kartofle w popiele;

Po mleko skoczę, bo ich coś niewiele.

(Józwa bierze czapkę od Bartka i trzyma ją przed królem,  
który siadłszy na ułożonym postaniu, je kartofle; Bartek  
wybiega).

ANTEK (do innych młodych).

Rzekł Józwa: w progu przetrwamy noc całą;  
To dobrze; ale, gdy będzie już dniało,  
Potrzeba skryć się w załomie tej skały,  
I króla strzedz tu, i w noc i w dzień biały;  
Inaczéj, mogą Szlązaki przespiegi  
I tutaj, ponad Prądniku przyjsć brzegi.

MŁODSI (gdyby nie było więcej, zastąpi ich Wojtek).

Podzielić trzeba się nam strażowaniem:

My będziemy w nocy, wy przyjdźcie zaraniem!

STARSI.

Niech będzie!

(Bartek upada z garnkiem mleka).

BARTEK (podając królówi).

Panie! ot mleko jest świeże!

(Król je i pije, wszyscy stoją z daleka; gdy król przestaje  
jeść, Józwa mówi do otaczających).

JÓZWA.

Odstąpcie, dzieci! król zmówi pacierze!..  
(do króla, gdy uni cofają się ku wyjściu zwolna).

Te skały lepszą od chat są uchroną;  
Spoczawszy, pójdziesz i wrócisz z koroną,  
O królu! z królów zrodzony na tronie,  
Bo lud ci wierny włoży ją na skronie.  
Bóg z tobą, spocznij, my legniem u progu!

KRÓL.

Bóg z wami! kłękam, by modlić się Bogu,  
Nie o koronę, bo wasze ją dłonie,  
Już czuję, że mi włożyły na skronie,  
Lecz abym z Polską doznając wraz cudu,  
Zjednoczył lud mój dla szczęścia jej ludu!

(Wszyscy przyklękają przed królem; (gdy on kłęka do mo-  
dlitwy, oni wstają i znikają u wyjścia).

## ZWIERZYNIEC POD WILNEM.

Miejscowość ta, leżąca nad Wisłą pomiędzy Wilnem a górami Ponarskimi, słynna jest z malowniczej swój piękności. O założeniu tego Zwierzynca nie przechowały się żadne pewniejsze wiadomości, tyle tylko wiemy, że aż do początku XIX stulecia był własnością książąt Radziwiłłów. Dostojnicy tego rodu często przebywali w Wilnie, jako biskupi, kanclerze, wojewodowie, dla tego też zapewne założyli wiejską rezydencją w sąsiedztwie tego miasta. Księżniczka Stefania Radziwiłłówna wniosła Zwierzyniec w posagu, wraz z innemi obszernemi dobrami, w dom książąt Wittenstejnów, którzy obecnie zamieszkują w Werkach, pięknej rezydencji, także niezbyt od Wilna oddalonej. Piękny park zwierzyniecki był dawniej świetnie utrzymany, chowano w nim mnóstwo zwierzwa, danieli, jeleni i sarn, dziś jednak bardzo jest zaniedbany, a cały urok jego stanowi przesłiczne położenie na wybrzeżach Wili.

## KORESPONDENCYA WIECZORÓW RODZINNYCH \*).

z gub. Podolskiej.

...Otrzymaliśmy 47-my Nr. *Wieczorów* w obecności sąsiada naszego, pana B. i przeczytaliśmy

\*) Ponieważ często odbieramy od młodych naszych czytelników liściki bardzo zajmujące, postanowiliśmy kiedyś drukować z nich ciekawsze ustępy, w nadziei, że i inni czytelnicy z przyjemnością odczytać je będą.

*z Troickosawska pod Kiachtą.*

mu głośno artykuł o „niezwykłym zjawisku”. On nam wtedy opowiedział ze szczegółami o śmierci podróżnego, który umarł w nocy na drodze pomiędzy Niszowcami i miasteczkiem Kuryłowcami w czasie tego zjawiska. Wiedzieliśmy już przedtem o tej śmierci i dziwiliśmy się, gdy mówiono, że człowiek ten „zamarzł”. Po przeczytaniu artykułu w Wieczorach, przypuszczamy, że przyczyną jego śmierci musiał być właśnie ten straszny deszcz.

Ten nieszczęśliwy wyjechał, pomimo deszczu, późno w nocy z Kuryłowiec, wracając do domu. Jechał konno, sądząc zapewne, że to zwykły deszcz pada, a dla rozgrzania się wypił na drogę więcej wódki, niż potrzeba. Otóż nazajutrz o pięć wiorst od Kuryłowiec znaleziono go leżącego nawznak, z ustami rozwartymi i pełnymi lodu. Żle mówię *pełnymi*, gdyż oprócz lodu w ustach, miał także na ustach zamrożoną całą bryłę lodu.

Widać, że rozmarzony wódką ułożył się był do snu i na nieszczęście swoje ułożył się nawznak. Koń powrócił sam do domu. Jak też Pani uważa, czy ta śmierć nie miała styczności z lodowym deszczem, który nam zniszczył dębinę?

*A. J.*

*Przypisek Redakcyi.* Korespondentka nasza ma zupełną słuszność; śmierć musiała nastąpić z uduszenia, gdy deszcz, zastygając na ustach tego nieszczęśliwego, utworzył wielką bryłę lodu, która mu oddech zatamowała.

*z Troickosawska pod Kiachtą.*

na pograniczu Chin.

...W połowie Sierpnia powróciliśmy z wód Jemmarowskich. Z wielkim żalem opuszczałem to miejsce, które jest bardzo ładne; są tam góry wysokie, rozległe lasy modrzewiowe, duże łąki, a powietrze czyste i zdrowe. Przychodziło mi na myśl, ileby to korzyści można wyciągnąć z tych lasów, gdyby były w Polsce. Tu je tak marnują, odzierając z nich korę i wypalając niemiłosiernie. Drzewo to wydaje terpentynę, dobre jest także na budulec i opał. Moznaby je spławiać do Rosyi rzekami, ale to za drogo kosztuje.

Latwo sobie wyobrazić, jak mi niewesoło było po powrocie z wód w naszym brudnym mieście, gdzie niema ani lasu, ani wody, tylko dokoła wznoszą się piaszczyste pagórki, pokryte karłowatą sosną. Tęsknotę tę rozrywały nasze Pisemka, których aż dwadzieścia Nrów zastaliśmy po powrocie (10 Wieczorów a 10 Przyjaciela) i z wielką przyjemnością zabraliśmy się do czytania; potem zaczęły się lekcye. Z powieści pomieszczanych w Wieczorach, bardzo mi się podobała: „O własnej sile”, a i to jeszcze przyjemnie dla mnie, że bohater jęj jest moim imiennikiem. *Wł. R.*

...Dziękuję redakcyi za taką troskiwość, aby mnie niedźwiedzie nie pożarły \*). Nie było niebezpieczeństwa, gdyż zebrało się nas przeszło trzysta osób, wielu miało strzelby i nie obawiałem się niczego, chociaż myśliwi tamtejsi, których spotkaliśmy po drodze, idąc raz na przechadzkę, mówili nam, że niedźwiedź jest w pobliżu. Musiała go obecność nasza wystraszyć z okolicy, bo nigdy na mnie nie napadł, chociaż nieraz wdrapywałem się na góry lasem pokryte.

Teraz opowiem, o ile potrafię, co tam widziałem. Źródło znajduje się w dzikiej i górzystej puszczy, najbliższa wieś jest o 60 wiorst. Domki tam małe, korą modrzewiową kryte, lub z samej kory zbudowane szałaszy. O żadnych wygodach niema co mówić; każdy musi zabierać z sobą wozy z zapasami do jedzenia i naczyniami, a wieśniacy dostarczają mięsa co drugi dzień. Bydło żywe przypędzają i na miejscu biją, a krowy najmować trzeba, aby mieć mleko. Wszystko to dużo kosztuje. Było nam tam jednakże bardzo wesoło, chociaż straszne upały dokuczały. Prawie przez całe dni bawiliśmy się na dworze, biegaliśmy po lesie i gimnastykowaliśmy się.

Wieczorem każdy rozpalał przed swoim domkiem ognisko, dla ochrony od much i dla przyjemności, a taka iluminacja piękny przedstawiała widok; była do tego i muzyka, wiejskie śpiewy i tańce. My chłopcy często dla ruchu, pod przewodnictwem starszych, znosiliśmy gałęzie, układaliśmy wielkie stosy i zapalaliśmy je wieczorem; ślicznie to wyglądało, i samo ognisko, i wylatujący z niego dymek z iskrami, jakby wulkan jaki, szczególnie gdy to było na wysokości górze urządzone.

Te rozrywki odbierały mi nawet zapał do polowania, trzy razy tylko na nie chodziłem i nic nie zabiłem; służący nasz postrzelił orła, ale go nie zabił, tylko pióra się posypały i odleciał. Bylibyśmy posłali tego orła do Warszawy. Brat mój Władysław zabił dzięcioła.

Wody tam są żelazno-sodowe i nam pomogły. Smak mają kwaśny. W ogóle podobało mi się tam bardzo, bo i miejscowość ładna i rozrywka. Życie nudne w mieście, zwłaszcza takiem, jak nasze. Większa część drogi od źródeł do Troickosawska jest górzysta, a dalej przechodzi przez step. Góry skaliste i strome, nieraz dla bezpieczeństwa przebywaliśmy je pieszo, co było uciążli-

\*) Korespondent donosił nam, że wyjeżdża do wód, położonych wśród puszczy, gdzie dzikie niedźwiedzie przebywają i z tego powodu zalecaliśmy mu ostrożność.

we, ale ja miałem to zadowolenie, że się wyharco-  
wałem, biegnąc pędem z góry. Raz tylko nabawiłem  
Mamę strachu: odbiegłem sam daleko na dół, a że  
z jednej strony były skały urwiste, a z drugiej rze-  
ka Czykoj z bardzo wysokimi i stromymi brzegami,  
rodzice obawiali się, abym nie wpadł do rzeki.

Piękne widoki po drodze nie bardzo mnie za-  
chwyciły, obawiałem się, żeby mi nie spadł na  
głowę kamień, bo często zwieszały się na wół  
oderwane głazy ze skał popękanych. . . .

K. R.

## Przygody młodych podróżników

NAOKOŁO ŚWIATA.

(Dalszy ciąg).

Dostawszy się do kraju nieznanego bez żadnych  
funduszków, biedni nasi podróżnicy w przykrém  
bardzo byli położeniu i poznali, jak to źle nie umieć  
żadnego rzemiosła. Każdy jednak, kto ma ręce  
zdrowe, może pracować koło roli; to też Jakób  
i Marek wkrótce znaleźli robotę u wiejskich mie-  
szkańców, w okolicach miasta Saigonu. Najęli się  
do uprawy ryżu, która jest bardzo kłopotliwa  
i nużąca, bo ciągle potrzeba zasiane pola wodą  
zalewać.

— Czy nie lepiej byłoby rozpocząć jakiś han-  
delek? — rzekł raz Marek, któremu ta praca do-  
kuczyła.

— Ciekawym bardzo, czém ty myślisz handlo-  
wać — mówił Jakób wzruszając ramionami — za-  
rabiamy tylko tyle, że z głodu nie ginimy. Chcąc  
sprzedawać, trzeba wprzód mieć towary, a za co  
my je tu kupimy, kiedy grosza złamanego nie  
mamy?

— Ale mamy zręczność i dowcip — rzekł Ma-  
rek — już oddawna noszę się z pewnym pomys-  
łem.

Marek, chodząc koło ryżu, zauważył, że w tym  
kraju żyje mnóstwo pięknych ptaków, bardzo ozdo-  
bnie upierzonych. Przyszło mu do głowy, że mo-  
żnaby je łapać i sprzedawać, nieraz bowiem spo-  
tykał wędrujących handlarzy, którzy rozmaite  
ptaki w klatkach nieśli do portu, i ztamtąd na  
okrętach wysyłali do Europy. Pomysł był rzeczy-  
wiście wyborny. Obaj z Jakóbem niezwłocznie  
się zabrali do roboty, nacięli duże pęki łożyny,  
trzciny, giętkich lian i narobili mnóstwo klatek  
większych i mniejszych. Potém Marek zabrał się  
do łapania ptaków. Nigdy jednak przy tém nie  
czynił tym przeslicznym stworzeniom żadnej przy-  
krości, i nie wydzierał im gniazd. Chłopak miał  
bardzo dobre serce i litował się nad każdym pta-

szkiem, którego schwytał, ale powtarzał sobie, że  
nie przez okrucieństwo pozbawia swobody te bied-  
ne stworzenia, lecz z rzeczywistej potrzeby. Ja-  
kób karmił je, poił i wszelkich starań dokładał, aby  
im oszczędzić cierpienia.

W krótkim przeciągu czasu złowili ze sto pta-  
sząt najpiękniejszych, i odnieśli do Saigonu, gdzie  
je bardzo prędko sprzedali. Zebrali sporą sum-  
kę i postanowili wziąć się do innego zajęcia. Ma-  
rek wstręt już miał do chwytania ptaków. Prze-  
nieśli się więc obaj do miasta Wairunu i najęli  
tam mały sklepik.

— Czemże teraz będziemy handlować? — za-  
pytał Jakób, który spuszczał się już teraz na do-  
wcip Marka.

— Będę cukiernikiem — rzekł Marek.

I w rzeczy samej nakupił zaraz rozmaitych sło-  
dyczy, cukierków, ciastek, miodu i innych przy-  
smaków. Handel poszedł bardzo dobrze, sklepik  
był licznie uczęszczany.

Upłynęło ze dwa tygodnie od założenia cukier-  
ni Marka, gdy dnia pewnego wszedł do niej pe-  
wien Indyanin, bardzo znakomitego rodu, bramin,  
spokrewniony z domem panującego radży, czło-  
wiek niezmiernie bogaty, mający jednak skromne  
upodobania. Nasz cukiernik zakrzętnął się z wiel-  
ką gorliwością około dostojnego gościa i podał mu  
słoik z miodem, którego ten zażądał. Ale zaledwie  
odkrył miód, rój much zaczął się cisnąć do słody-  
czy i Marek musiał je wachlarzem odpędzać. Mu-  
chy, siedzące u brzegu słoika, umknęły zaraz, ale  
te, które się rzuciły chciwie na miód pośrodku,  
przyłgnęły do niego i nie mogły odlecieć, musiał je  
więc Marek małą łopatką powijmować i wyrzu-  
cić.

Bramin spoglądał na to i zamyślił się głęboko.  
Potém westchnął, potarł ręką czoło, a gdy Marek  
zapytał go z uszanowaniem, czy nie jest cierpiący,  
uśmiechnął się dobrotliwie i rzekł:

— Nic mi nie jest, ale widok tych much i mio-  
du poważne mi nasunął myśli. Muchy, które się  
zatrzymały u brzegu słoika, podobne są do mędr-  
ców tego świata. Ci bowiem umieją miarkować  
pożądliwości swoje, nie gonią nierozważnie za roz-  
koszą i ostrożnie używają dóbr wszelkich. Te mu-  
chy, co tak skwapliwie rzuciły się na słodycz, nie  
bacząc na niebezpieczeństwo, są podobne do ludzi  
nierozsądnych, którzy bez żadnego zastanowienia  
nadużywają przyjemności życia.

Marek i Jakób słuchali z uwagą, a Indyanin,  
po chwili milczenia, tak mówił dalej:

— Gdy anioł śmierci przeleci szybko ponad  
ziemią, poruszając skrzydłami, każdy, kto roztro-  
pnie zatrzymał się u brzegu ziemskich rozkoszy,  
uniesie się swobodnie i odleci do niebieskiej swęj

ojczyzny. Lecz ten, kto ulega swym namiętnościom, i pograża się w rozkoszach tego świata, nie zdoła się od nich oderwać dobrowolnie i wtrącony będzie w otchłań ciemności.

Skończywszy, bramin wyjął woreczek złotem napełniony, podał go Markowi i rzekł jeszcze:

— Przyjmij odemnie ten drobny dar, młodzieńcze, za miód, który mi tak piękną naukę na myśl przywiódł. Przyjmij i pamiętaj o mnie.

Wstał i oddalił się śpiesznie, unikając podziękowań, a Marek uszczęśliwiony obracał w rękę woreczek i oglądał go na wszystkie strony. Wyspał wreszcie na stół złote pieniądze, zliczyli je obaj z Jakóblem, i pokazało się, że wspaniałomyślny Indyanin po królewsku ich obdarzył.

— Teraz — rzekł Jakób — jesteście znowu bogaci i możemy się puścić w dalszą podróż, poszukać po świecie ukochanych naszych towarzyszy, Roberta i Henryka.

Stary majtek nie zapomniał ani na chwilę o dwóch młodzieńcach, z którymi nieszczęśliwy zbieg okoliczności go rozdzielił. Postanowił więc odszukać ich teraz koniecznie, choćby na końcu świata. Według planu podróży, ułożonego jeszcze we Francyi, mieli z Arabii udać się do Persyi i Indyi, a ztamtąd do Chin. Tyle już czasu upłynęło od chwili, gdy Robert wyruszył z Dżiddy, że miał czas chyba dostać się do Niebieskiego Państwa. Po naradzie, stanęło więc na tém, żeby wyruszyć prosto do Chin.

Upłynęło jednak dni kilka, zanim Marek sprzedał swój towar i cukiernią odstąpił, a gdy już wszystko było spieniężone, dwaj nasi podróżnicy powędrowali znowu do portu. Na nieszczęście nie mogli natrafić na okręt europejski, płynący do Chin i puścili się w drogę na małym jakimś statku kochinchińskim. A trzeba wiedzieć, że na tém morzu mnóstwo rabusiów malajskich uwija się nieustannie, statek rozbójniczy wyszedł, że odpływający okręci kochinchiński wiezie dwóch bogatych Europejczyków, puścił się w pogoń za nim i biedni nasi podróżnicy dostali się w niewolę.

— Nie mamy szczęścia — mówił Marek z westchnieniem, gdy obaj z Jakóblem, skrępowani więzami, siedzieli w najciemniejszym zakątku rozbójniczego okrętu.

— Już teraz przepadła ostatnia nadzieja odzyskania Roberta — odrzekł Jakób ze smutkiem — gdybyśmy nawet uciec zdołali od tych łotrów, nie uratujemy pewnie pieniędzy. To dziwna rzecz, że dotąd nam jeszcze kieszeni nie wypróżnili. Ba! nie śpieszą się, wiedzą, że uciec nie możemy.

Tymczasem przybyła im pomoc niespodziewana. Zjawił się, jakby na zawołanie, okręt portugalski i rozbójników morskich pochwycił, a więźniów wy-

swobodził. Okręt ten płynął właśnie do Chin, zabrał więc Marka i Jakóba i wysadził na ląd w mieście Makao. Nie zastawszy tam Roberta i Henryka, postanowili szukać ich przez listy, a tymczasem otworzyli dom handlowy w Makao, załatwiali różne interesa pomiędzy kupcami europejskimi i Chińczykami i tym sposobem szybko robili majątek. Wysłali mnóstwo listów w rozmaite strony świata, i widzieliśmy, jak jeden z nich nakoniec doszedł rąk Roberta i Henryka w Ispahanie.)

## VIII

Wyjazd z Persyi. — Rzut oka na Indye. — Miasta indyjskie. — Stoń. — Rozmaite dzieci Bramy. — Las. — Spokanie. — Pochód. — Polowanie na tygrysy. — Bramin lekarz. — Kanadyjczyk w Indyach. — Przybycie do bengalowi. — Zaprosiny radzy. — List z Chin. — Handel w Makao. — Przygoda dwóch handlarzy. — Dziki Król. — Urzędnicy dworu. — Rum. — Zaprosiny Jakóba.

Jak wspomnieliśmy wyżej, Robert i Henryk, po odebraniu dwóch listów, od Anglika i Jakóba, postanowili się rozłączyć; pierwszy miał się udać do Indyj, gdzie go wzywał sir James Primrose, drugi do Chin, do pocziwego marynarza. Przekonali się jednak po namyśle, że zamiar ten nie był roztropny. Henryk nie miał ochoty opuszczać towarzysza, którego niedawno odszukał, a nauczony doświadczeniem, obawiał się wyruszać w tak daleką podróż z jednym nieznanym przewodnikiem. To też w ostatniej chwili zawahał się i rzekł do Roberta:

— Wiesz co, przyjacielu, może ja wyruszę z tobą do Indyj; Jakób wybaczy, ale nie mam odwagi rozstać się z tobą.

— Dzięki ci, mój drogi — odrzekł Robert, całując go serdecznie — mnie także żal ścisnąć serce, chociaż nie śmiałem cię wstrzymywać. Gdyby Jakób znał wszystkie nasze przygody, samby nam teraz doradzał, abyśmy najpierw udali się do Indyj gdyż podróż ta daleko większe przedstawia bezpieczeństwo. Zabawimy tam czas jakiś w gościnie u naszego Anglika, który nam wskaże zapewne najlepszy sposób dostania się do Makao. Sir James Primrose jest bardzo doświadczony, możemy mu zaufać. Trzeba tylko napisać do Jakóba, żeby się darmo o nas nie trwożył i czekał cierpliwie naszego przybycia.

Tak też uczynili, a wysławszy list do Chin, sami wyruszyli do Lahory z kupcami indyjskimi. Znowu więc przeniesiemy się odrazu z perskiej stolicy do jednego z portów angielskich w Indyach. Wsiadając na okręt, który ich miał tam przewieźć, młodzieńcy nasi zdjeli strój perski i przybrali ubior, używany w koloniach zwrotnikowych. Jest to zwy-

czajny ubiór europejski, zrobiony z lekkich tkanin azyatyckich. Z wielką przyjemnością pozbyli się mużułmańskich sukien i włożyli na siebie wygodne nankinowe spodnie, jedwabne tużurki i wielkie ryżowe kapelusze. Żadna niezwykła przygoda nie spotkała ich w tej podróży, wylądowali szczęśliwie na ziemię indyjską, należącą do Anglików.

— Czy pamiętasz, Robercie — mówił Henryk do przyjaciela — jak Marek pragnął obaczyć wielbłąda? Otóż ja teraz z taką samą niecierpliwością wyglądam spotkania ze słoniem we własnej jego ojczyźnie.

A wtém, jakby na zawołanie, wspaniałe to zwierzę ukazało się przed oczyma naszych podróżników. Był to słoń oswojony, szedł swobodnie przez ulicę, oglądając się i pokręcając trąbą. Młodzieńcy wypoczęli trochę w portowym mieście i niezwłocznie poszli dalej, zmierzając do Lahory, gdyż wiejskie mieszkanie, tak zwane *bengalow*, gdzie czekał na nich sir James Primrose, znajdowało się w bliskości tego miasta.

Na każdym kroku spotykali nowe, niezwykle widoki. Przed oczyma ich migały ozdobne palankiny, lekytyki indyjskie, niesione na ramionach niewolników. Siedziały w nich najczęściej kobiety europejskie, bogato ustrojone. Ludzie różnych narodowości przechodzili obok nich po drodze; byli pomiędzy nimi i osadnicy angielscy w europejskim ubiorze i Indianie w białych zawojach muślinowych; jedni mieli cerę białą, inni ciemniejszą, prawie miedzianą. Od czasu do czasu mijaly ich gromadki jeźdźców, to na koniach, to na dromaderach, a parę razy oglądali także i słonie przewożące podróżnych. Spotkali pielgrzymów, dążących do miasta Benares i przypomnieli sobie swoją pielgrzymkę do Mekki z karawaną. Droga ich przechodziła przez kilka miast znaczniejszych, gdzie mogli podziwiać dziwną architekturę indyjską. Starożytne budowle miasta Delhi mają rozmiary tak ogromne, jak gdyby były dziełem olbrzymów. Dokoła tych murów rozsiane są wszędzie gromadki drzew palmowych, rozkoszna roślinność zwrotnikowa bujną zielenią pokrywa stare glazy; ponad tym cudnym krajobrazem jaśnieje przepyszny lazur nieba, a słońce oblewa wszystko potokiem złotystych promieni. Miasto Agra, dawna stolica mongolskiego państwa, słynie znów niesłychaną ilością świątyni. Podróżny spostrzega z daleka całe las minaretów, a białe marmurowe pagody wdzięcznie przegładają z pośród zielonych zarośli. Miasta Bombay i Kalkuta są już na w pół europejskie, handel całego świata się w nich skupia.

Sir James Primrose z królewską hojnością urządził podróż naszych młodzieńców. Przewodnicy, których wysłał naprzeciw nich do portu, mieli po-

lecenie zapytać, czy chcą wsiąść do bogatego palankinu, który jest na ich rozkazy, czy wolą jechać na dromaderach, czy wreszcie na słoniu, w wygodnej wieżycze, na grzbiecie olbrzymiego zwierza umieszczonej.

— Wolimy iść pieszo — odrzekł Robert — nieprawdaż Henryku?

— Jestem tegoż samego zdania — potwierdził tamten — przechadzka wśród tak rozkosznej krajiny musi być największą przyjemnością.

Odbyli też całą podróż pieszo, towarzyszył im orszak zbrojny, złożony z krajowców, pod dowództwem dwóch Anglików, wiernych sług sir Jamesa. Na każdy odpoczynek rozkładano piękny namiot. Młodzi podróżnicy nie żalowali wcale palankinu; idąc powoli, zatrzymując się często, daleko lepiej mogli obejrzeć piękną krajinę, przez którą przechodzili, a chociaż nie mało już świata zwiedzili w swojej wędrówce, nigdzie jeszcze nie napotkali takich czarujących krajobrazów, takiego bogactwa przyrody, takich wód i takiego nieba. Błogosławiona ta ziemia, licznymi rzekami skropiona, pokryta przepyszną roślinnością, była niegdyś kolebką starożytniej cywilizacji, której zabytki dopiero w ostatnich czasach zwróciły na siebie uwagę uczonych badaczy. Święte księgi, znalezione w Indyach, mieszczą w sobie dzieje pierwotne całego szczepu ludzkiego, który ogromne znaczenie ma w świecie, zaliczane są do niego wszystkie niemal cywilizowane narody europejskie.

Mahometanizm bardzo jest teraz rozszerzony w Indyach, ale najdawniejszą religią tego narodu jest braminizm, tak nazwany od Bramy, najwyższego bóstwa. Indianie podzieleni są na kasty. Według podania ich religijnego, wszyscy pochodzą od Bramy, ale bramini, czyli kapłani, wyszli z głowy bóstwa, wojownicy, Kszatrya, z jego ramion, rolnicy, Waissya, z kolan, a niewolnicy, Sudra, z nóg. Oprócz tych czterech klas, jest jeszcze piąta, Paryasów, czyli Czandalów; biedni ci ludzie tak są pogardzani, że każde zetknięcie z nimi za hańbę jest uważane.

Przewodnicy opowiadali młodemu podróżnikowi różne szczegóły o tém dziwném urządzeniu społeczném. Indianin, zrodzony w niższej kascie, nie ma prawa myśleć nawet o żadnym wywyższeniu, choćby posiadał zdolności umysłowe i bogactwa; ale jeśli w pokorze znosi przeznaczenie swoje, może się pocieszać nadzieją, że po śmierci odrodzi się w wyższym stanie. Religia indyjska naucza o przechodzeniu dusz w istoty doskonalsze lub niższe, według zasługi. Bramini uważają się za wyższych od wszystkich innych ludzi, niczem się nie zajmują, tylko czcąc bóstw w świątyniach, wielu z nich pędzi życie pustelnicze na pobożnych rozmyśla-

niach i ci są niezmiernie poważani. Podróżnicy nasi napotkali po drodze kilku takich pustelników, siedzących nieruchomo pośród drzew, nad brzegami strumieni. Lud okoliczny pamięta o tém, aby z głodu nie zginęli.

Wszystko jednak na tym świecie ma swoje odwrotną stronę. Krajobrazy indyjskie są wspaniałe, nie mają sobie równych na świecie, ale trzeba być na to przygotowanym, że w tych rozkosznych ustroniach można się spotkać nieraz z wężem syczącym, lub potężnym tygrysem, unoszącym w paszczy drgającą ofiarę. Młodzieńcy nasi szli po większej części drogami bitymi, w bliskości mieszkań ludzkich, lecz musieli także przechodzić przez wielki las, a gdy się doń zbliżali, dowódzca straży kazał wszystkim broń nabić i mieć ją w pogotowiu.

— Moi panowie — rzekł do młodych Francuzów — wiem, że jesteście odważni; ta ostrożność z mojej strony nie powinna was przestraszać. Nie sądzę, ażebyśmy mieli w biały dzień obaczyć tygrysy; las ten jest bowiem uczęszczany, a zwierz unika spotkania z ludźmi. Zawsze jednak musimy być przygotowani na wszelki wypadek.

Robert i Henryk nie ulękli się wcale, tylko opatrzyli strzelby i wesoło postępowali wśród gęstwiny. Kiedy niekiedy zatrzymywali się na chwilę i z zachwyceniem spoglądali dokoła; nigdy jeszcze w życiu nie widzieli podobnej roślinności. Odwieczne dęby rodzinnej ich Bretanii, te dęby, które ocieniały ołtarze dawnych druidów, byłyby wyglądały jak skromne krzaki obok olbrzymów, rosnących w tym lesie. Gęstwina zaczęła się przerzedzać, a przewodnicy oznajmili młodym podróżnikom, że bengalów bogatego Anglika jest już niedaleko. Parę razy ujrzeli poza drzewami sterczącą górę wyniosłą, o stokach nagich, poszarpanych. Poznawali w niej wulkan wygasły. Jedna z tych gór ukazała się przy samej drodze, zasłaniając krajobraz z tej strony i nagle wśród leśnej ciszy dały się słyszeć głosy ludzkie, nikogo jednak dojrzeć nie było można.

— Zdaje mi się, że to są głosy znajome — rzekł dowódzca, nadstawiając ucha — ale zaraz się o tém przekonamy.

Mówiąc to, wyjął z za pasa mały róg myśliwski i zatrąbił donośnie. Natychmiast takiż sam odgłos mu odpowiedział z daleka.

— A co, odgadłem! — zawołał dowódzca straży — to sir James Primrose zbliża się z myśliwskim swym orszakiem.

Po chwili rzeczywiście usłyszano coraz wyraźniej kroki zbliżającej się gromadki, która wysunęła się nakoniec z za wzgórze. Człowiek, postępu-

jący na jej czele, przystąpił do Roberta i podając mu obie ręce, zawołał:

— Witaj mi, gościu miły, witaj!

Był to sir James Primrose w własnej osobie, w zwykłym ubiorze indyjskich osadników, w lekkim jedwabnym garniturze, w wysokich kamaszach białych i kapelaszu tegoż koloru z szerokiemi rondem. Miał on strzelbę przewieszoną przez plecy, nóż myśliwski za pasem, i torbę u boku. Robert przedstawił mu przyjaciela, a Anglik powtórzył znowu serdeczne swoje powitanie:

— Rad jestem niezmiernie, że was widzę obu, moi panowie, chociaż trafiłście na ciężką chwilę.

— Cóż to się stało? — zapytał Robert — czy nieszczęście jakie, broń Boże?

Anglik wskazał w milczeniu na orszak swój, który postępował za nim bardzo powolnym krokiem. Czterech Indyan dźwigało na plecach nosze, z gałęzi plecione; leżał na nich człowiek o twarzy wybladłej, z oczyma zamkniętymi. Piersi jego były odkryte, z rany głębokiej krew sączyła się obficie. Dalej niesiono drugie nosze podobne, na tych leżał ogromny zwierz z rostrzaskaną głową, w którym na pierwszy rzut oka łatwo było poznać centkowanego tygrysa. Nakoniec dwóch ludzi niosło w koszu dwoje małych zwierzątek, wyglądających zupełnie jak koty, ale wzrok ich dziki zdradzał potomstwo zabitego potworu.

(D. c. n.).

## ZAGADKA HISTORYCZNA

### Z NAGRODĄ.

Był mąż, pochodzący z rodu panującego. Żył w czasach, gdy kraj jego na ustawiczne napaści potężnego nieprzyjaciela był wystawiony. Od dzieciństwa hartował się w trudach obozowych i w młodym już wieku odznaczał się dzielnością i walecznością w bojach. Walczył w obronie kraju przeciw obcym ciemiężcom, a zdradliwa ręka własnego krewnego i współzawodnika najcięższe mu zadawała ciosy. Wydarto mu dziedzictwo, pozbawiono wolności, a gdy poświęcenie żony uratowało go z więzienia, musiał się schronić na obcej ziemi. Obdarzony genialnemi zdolnościami, był jednak całe życie nieszczęśliwy w przedsięwzięciach swoich; szukając sprawiedliwości i opierając się pokrzywdzeniu, po kilkakrotnie wiązał się z wrogami ojczyzny. Gdy jednak oszukiwano go, dzieci mu zamordowano zdradnie, pogodził się z szczęśliwszym swym współzawodnikiem i gromił dzielnie wspólnego nieprzyjaciela. Nie wytrwał jednak w tej zgodzie, waśnił się znowu i szukał u obcych pomocy. W końcu stał się groźnym i uzyskał wie-

le, doszedł do władzy, której przez całe życie po-  
żądał, nie był jednakże zupełnie niezależnym.  
W rządach kraju okazał się równie mądrym, jak  
dzielny był w boju, wiele dobrego zrobił, podniósł  
potęgę państwa na zewnątrz i wewnątrz je  
urządził znakomicie. Nie poprzestał jednak na  
tém: powodowany ambycją, podżegany przez obce-  
go monarchę, zapragnął zupełnej niezależności  
i korony. Jakkolwiek ze wszech miar na to za-  
sługiwał, wykonanie zamysłów jego zgubne się  
stać mogło dla kraju, gdyż pociągało za sobą roz-  
dwojenie narodu. Napotkał też wielki opór, byłby  
go może przełamał, gdy śmierć przecięła pasmo  
burzliwego jego żywota. Jeden z najznakomitszych  
pisarzy współczesnych napisał piękny poemat o je-  
go czynach. Jak się nazywał ten mąż?

(Kto nadesłe najlepsze rozwiązanie tej zaga-  
dki, otrzyma książkę pod tyt: *Przygody młodego  
podróżnika w Tatrach przez M. J. Zaleską*, a roz-  
wiązanie będzie wydrukowane. Przypominamy  
kochanym czytelnikom, że *najlepsze* rozwiązanie  
otrzyma nagrodę, bez względu, czy wcześniej czy  
później nadejdzie. Wyznaczamy na to czasu pięć  
tygodni. Później rozwiązania nie będą przyjmowa-  
wane).

### Rebus graficzny.

pa 2 pa 3 N ne  
raw

### Zagadka głoskowa (B. Z.).

sr.... j... pi.... m...  
mi..... j... sz.....

Dodać litery na miejscu kropek, aby utworzyć  
przysłowie wschodnie.

### ROZWIĄZANIA DO N-ru 50-go.

#### Zagadki mnemonicznej:

Lilla Weneda.  
Ojciec zadziwionych.  
Słowacki.

### Zagadki o trzech siostrach:

Dziewczęta poszły na targ i zacięły swoje  
jaja bardzo tanio, po 7 sztuk za 5 groszy. Zuzia  
miała 50, sprzedała 49, wzięła za nie 1 złoty  
i groszy 5 czyli 35 groszy. Zostało jej 1 jajko.  
Fruzia miała 30, sprzedała 28, wzięła 20 groszy  
zostało jej 2 jajka. Różia miała 10, sprzedała 7  
wzięła 5 groszy, zostało jej 3 jajka.

Tymczasem zabrakło jaj na targu, ceny po-  
szły w górę i trzy siostry zacięły pozostałe swoje  
jaja po piętnaście groszy za sztukę. Zuzia za 1  
wzięła 15 groszy, Fruzia za 2 złoty, czyli groszy 30  
Różia za 3 złoty i groszy piętnaście czyli 45  
groszy. Każda więc przyniosła do domu 1 złoty  
i groszy 20 czyli 50 groszy.

### Odpowiedzi od Redakcyi.

Anulce J. w Niszowcach. Z liściku zrobiliśmy użytek  
w niniejszym Nrze Pisma, sądzimy bowiem, że i inni czy-  
telnicy z zajęciem go odczytają, ponieważ zawiera nowe  
szczegóły o strasznej klęsce, która nawiedziła gub. Podolską.  
Jasiowi kochanemu zasyłamy uścisk serdeczny i cieszymy się  
bardzo, że tak porządnie składa Dodatki. Na rok następny  
będzie ich miał dwa razy więcej. Mamie ukłony zasyłamy

Adasiowi Z. w Podzamczu pod Maciejowicami. Łamigłówk-  
są wszystkie wyborne i będą drukowane, prosimy o dalsze  
współpracownictwo. Przyjemnie jest odbierać liściki tak  
piękną kaligrafią pisane; chociaż wszyscy prawie korespon-  
denci nasi dobrze i starannie piszą, rzadko jednak zdarza  
się nam widzieć pismo podobne.

Władysiovi R. w Troickosawsku pod Kiachtą. Z wielką za-  
wsze radością witamy liściki nadchodzące ze stron tak da-  
lekich, z innej części świata. Za życzenia takie serdeczne,  
równie serdecznie dziękujemy i przesyłamy wzajemnie  
choć pewnie się spóźnią, zanim dojdą na pogranicze  
Chin. ŁamigłóWKi są bardzo dobre i będą drukowane.

Kaziowi R. w Troickosawsku. Liścik, w którym mieszczą  
się szczegóły ciekawe o dalekich krainach azyatyckich, tyle  
nam sprawił przyjemności, że chcieliśmy się nim podzie-  
lić z resztą naszych czytelników i wydrukowaliśmy go pra-  
wie w całości. Radziłyśmy odbierać podobne jaknajczę-  
ściej.

Panu J. S. Bajka Fr. Morawskiego, królewicz i słowik, by-  
ła już w Piśmie naszym drukowana, w Dodatku dla małych  
dzieci. Dwie inne nie mogą być zamieszczone, gdyż tłó-  
maczenie wiele pozostawia do życzenia. Zresztą wolimy  
podawać czytelnikom naszym oryginalne utwory poetyczne  
aniżeli tłómaczone.

Zosi Wr. w Grodźcu. ŁamigłóWKę, ładnie i starannie na-  
pisaną, wydrukujemy chętnie, tém bardziej, że wyrazy  
z początkowych i końcowych liter ułożone, bardzo są do-  
brze i stosownie wybrane.